

Dobry pan

O panu Adamie Wereszczyńskim nikt nie wyrażał się inaczej, jak tylko – dobry pan. Pomimo tego, a może właśnie dlatego, że miewał on także swoje słabości i dziwactwa.

Pan Adam pierwszego dnia lata każdego roku, od kiedy całkiem utracił nadzieję na posiadanie potomstwa, wzbijał się, niczym prorok pomiędzy chmury kolorowym jak ogon pawia balonem i znikał w niebie na wiele dni. Gdy wychylony z kosza, jak z przedziału maleńkiego wagonika dawał hasło - Start! - jego pomocnicy odcinali sznury przytrzymujące pojazd i zaczynał unosić się, machając na pożegnanie błękitną chustką do tłumu gapiów, wśród których znajdowała się zapłakana jego żona, Konstancja. Trzeba ją było mocno w tym momencie trzymać, aby nie uczepliła się odrywającego się od ziemi balonu. Dziadkowi Ado przybywało obowiązków, gdyż musiał wtedy doglądać jego parobków, pilnujących licznych stad koni pozostawionych na ziemi, a także opiekować się szwagierką. Przybywało mu wprawdzie obowiązków, ale miał mniej stresów, gdyż nie musiał denerwować się ciągłymi tarapatami szwagra, które spotykały go na ziemi i z których, na prośbę jego żony, musiał go wielokrotnie wyciągać. Po powrocie z podniebnej wyprawy wszyscy wysłuchiwali opowieści pana Adama o przeżytych przygodach i zwiedzanych krajach.

Któregoś roku po powrocie z podniebnej wędrówki dowiedział się, że nie jest już właścicielem swoich włości oraz stad i nawet jego balon został zajęty przez komornika. Podpisał bowiem przed kilkoma laty - o czym już zdążył zapomnieć - jednemu z licznych swoich karcianych przyjaciół, weksel na wielką kwotę, która znacznie przekraczała, jak się potem okazało, wartość jego majątku. Przyjacielowi natomiast zdarzyło się podczas jednej z licznych handlowych podróży zagrać w karty tak nieszczęśliwie, że przegrał cały majątek własny i musiał ponadto zastawić za długi weksel podpisany przez pana Adama.

Kiedy nie latał balonem, jeździł do Dubna albo do Krzemieńca na spotkania z licznymi przyjaciółmi i przyjaciółkami, wśród których było kilku poetów, malarzy i poetek oraz zachodził wieczorami spróbować swego szczęścia w grze w karty. Po każdym jego pobycie na gościnnych występach w którymś z tych miast po całym powiecie krążyły barwne poetyckie opisy jego towarzyskich, łózkowych, karcianych i także czasami, alkoholowych wyczynów.

Gdy mąż odlatywał balonem, pani Konstancja dość szybko uspokajała się i wpadała w stan przypominający letarg. Nawet w chwilach gdy nie spała, a przesypiała wtedy większą część dnia i nocy, rzucając się we śnie i rozmawiając przez sen z różnymi ludźmi i z ich duchami - a najczęściej z duchem męża - zdawała się przebywać daleko od otaczającej ją codzienności. We śnie podążała za małżonkiem przez różne egzotyczne kraje i odzywała się w wielu dziwnych językach, nie wyłączając języków plemion licznych ludów afrykańskich i amerykańskich Indian. Przebudzona ze snu, nie potrafiła jednak odezwać się w żadnym innym obcym języku, poza rosyjskim, francuskim i niemieckim. Kiedy pan Adam wyjeżdżał na karty i na towarzyskie spotkania, Konstancja każdego dnia nad ranem budziła się o odpowiedniej porze, pełna zaciekawienia, co wyniknie z jego nowego wyjazdu i rozpoczynała seans oczekiwania w oknie.

Jeśli małżonek pojawiał się od razu we własnej osobie, w całej swej okazałości, wysiadając z dorożki swoim charakterystycznym, chwiejnym, a jednak pewnym siebie krokiem, znaczyło to, że przegrał. Wtedy wychodziła i płaciła rachunek za dorożkę, po czym brała męża pod rękę i prowadząc umęczonego do łóżka, wysłuchiwała złorzeczeń i utyskiwań rzucanych pod adresem różnych jego karcianych partnerów – pułkowników, generałów oraz polskich i ruskich książąt. Czasami jednak zdarzało się, że z dorożki wysiadał najpierw stangret z jego laseczką, po chwili z następnej dorożki drugi stangret z jego okularami, a po jakimś czasie trzeci ze znajomym kapeluszem - wtedy wiedziała, że wygrał. Zapłaciwszy rachunki za wszystkie dorożki, często długo jeszcze czekała na pojazd, którym przybywał główny bohater

tych wydarzeń.

Kiedy cały dom zbudzony w środku nocy wysłuchiwał triumfalnych opowiadań o pana karcianych przewagach, Konstancja w milczeniu płaciła rachunek za ostatnią dorożkę i pozwoleńszy mu się do woli wygadać, kładła pana wypłukanego po jakimś czasie z euforii zwycięstwa do łóżka. W czasie gdy spał, wyciągała z wszystkich kieszeni jego rozrzuconej po sypialni garderoby liczne poskręcane niemiłosiernie banknoty i ciepłe jeszcze monety. Po dokładnym przeliczeniu i zapisaniu znalezionej kwoty, wkładała pieniądze do szuflady szafki nocnej. Podczas późnego śniadania w łóżku pan Adam sprawdzał dokładność finansowych przeliczeń małżonki i w razie pomyłki, poddawał ostrej krytyce brak należytej staranności o rzetelność w pokazaniu jego karcianego sukcesu.

Po utracie majątku pan Adam zostawił pod opieką dziadka Ado swoją żonę Konstancję i wyjechał do Ameryki. Po pięciu latach wrócił z nowym majątkiem wartości kilkuset tysięcy, podobno niewiele mniej od miliona dolarów, w postaci paczek banknotów, mieszczących się w jednej niewielkiej walizeczce skórzanej którą z sobą przywiózł z drugiego końca świata. W czasie swego pobytu w Ameryce napisał dwa listy do małżonki. Jeden otrzymała w kilka miesięcy po jego wyjeździe, a drugi na miesiąc przed powrotem. Swoją triumfalny powrót postanowił uczcić wielkim, dziękczynnym nabożeństwem w kościele w Dubnie. Przez cały czas nabożeństwa oczy wszystkich obecnych kierowały się ku jego wyprostowanej, dumnej postaci. Było wielu ciekawych widoku największego w okolicy podróżnika, bohatera, śmiałka i szczęściarza w jego osobie, toteż na mszę przybyły tłumy. Gdy po poświęceniu drogocennej walizeczki wrócił do domu, okazało się, że jest w niej tylko kilka paczek gazet.

- Nieprawdopodobnym było, aby w czasie nabożeństwa, na oczach wielu ludzi, można było wyciągnąć z walizeczki paczki dolarów i podrzucić gazety. Ktoś musiał zamienić walizeczki - twierdził pan Adam. A ponieważ po swoim przyjeździe, w domu i w kościele, otoczony był z bliska tylko przez członków rodziny, do końca życia podejrzewał najbliższą rodzinę o kradzież przywiezionego majątku, który, pomimo wielu prywatnych i urzędowych dochodzeń, nigdy nie został znaleziony. Dlatego, gdy potem dowiadywał się, iż ktoś z rodziny coś kupił - ubranie, konia, buty, wyprawił wesele albo chrzciny, mawiał – to na pewno kupione za moje pieniądze.

Od czasu do czasu krążyły po okolicy zabawne opowieści o chwilach nadzwyczajnej dobroczynności pana Adama. Zdarzało się bowiem, że jadąc bryczką przez wieś, rozrzucał na wszystkie strony drobne monety, które niczym nagle strugi złotego deszczu opadały na drogę i na ziemię po jej poboczach. Wtedy ludzie wyskakiwali z chat i padając na kolana, pełzając, czołgając się, zbierali pieniążki. Z upływem czasu ludzi przybywało coraz więcej, w końcu robił się taki tłok, że dochodziło do przepychanek i swarów. Niejeden wychodził z tych zbierackich zawodów z podartą odzieżą i tak poturbowany, że na długo przypłacał zdrowiem i cierpieniem te napady jego dobroczynności. Jednak mimo to ludzie często mówili o nim inaczej, aniżeli zazwyczaj wyrażali się o innych bogaczach – nasz pan Adam jest dobry.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Alfeusz, dodano 14.08.2012 19:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.